

Miecz Jahwe

Tom I - Krew na Piachu

Marek Migąła

Wydanie przygotowane do druku w formacie 6 x 9 cali.

Układ rozdziałów z ilustracjami otwierającymi i dwiema mapami
tomu.

Mapa świata

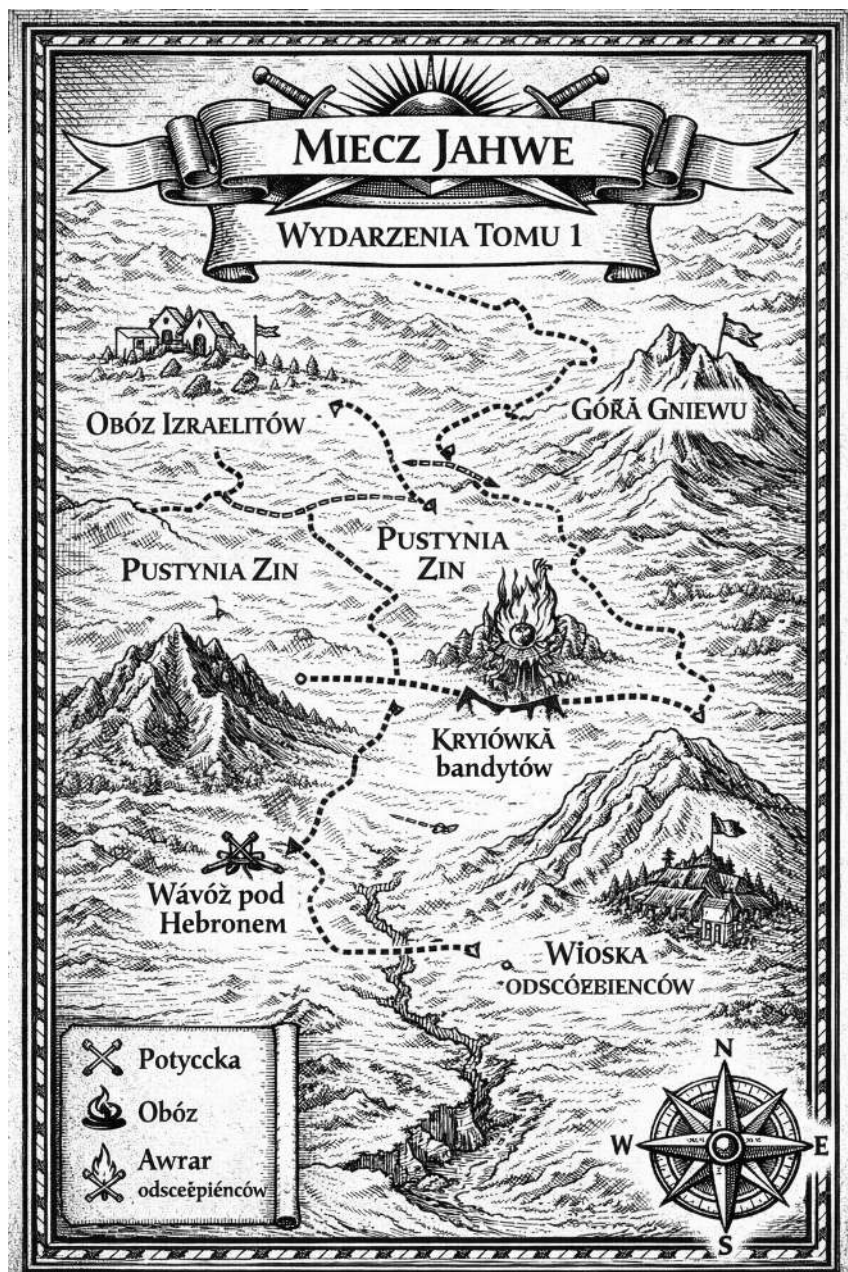
Kraina - Miecz Jahwe



Morza, pustynie, góry i krainy pogranicza - mapa orientacyjna świata tomu I.

Mapa fabularna

Wydarzenia tomu I



Obóz Izraelitów, Pustynia Zin, kryjówki wrogów, Góra Gniewu, Góra Nebo i miejsca starć pierwszego tomu.

Od autora

Słowo wstępne

Biblia nie jest bajką.

Jest zapisem narodu, który przez czterdzieści lat siedł przez pustynię i który po drugiej stronie tej pustyni znalazł nie raj — lecz wojnę. Wojnę o każdy skrawek ziemi, o każdą dolinę, o każde miasto za murem. Wojnę, którą wygrał — nie dlatego że Bóg wygrywał za nich, lecz dlatego że ludzie którym Bóg dał siłę, wiedzieli co z nią zrobić.

Miecz Jahwe to seria osadzona w tej właśnie historii.

Nie w jej legendzie — w jej kościach. W piachu pustyni Paran, w murach Jerycha, w kanaańskich wąwozach gdzie krew rzeczywiście płynęła i gdzie prawdziwi ludzie z prawdziwymi imionami podejmowali decyzje których skutki czujemy do dziś — bo historia Izraela jest fundamentem cywilizacji zachodniej, arabskiej, etiopskiej i dziesiątek innych. Jest w kodeksach prawa, w muzyce, w architekturze, w języku którym myślimy kiedy mówimy o sprawiedliwości, obietnicy albo grzechu.

Miecz Jahwe to moja próba opowiedzenia tej historii od nowa. Nie zamiast Biblii — obok niej. Jako heroic fantasy osadzone w realiach epoki brązu, z postaciami które mają własne głosy, własne lęki i własne powody żeby iść przez Jordan nawet gdy Jordan nie chce się rozstąpić.

Tom I — Krew na Piachu — to początek.

Poznasz Baraka — syna Mojżesza i kobiety którą Bóg mu zabrał — który nie wie kim jest, lecz który nosi w kościach ogień jakiego nie da się wytłumaczyć ludzką krwią. Poznasz tych, którzy pójdą z nim: kowala z fobią

ciemności, kobietę z wyrokiem w kieszeni, łucznika który strzela z łuku ojca i psa, który nigdy nie myli się co do ludzi.

Seria będzie miała tyle tomów ile potrzeba żeby opowiedzieć to wszystko do końca.

Ten jest pierwszy.

Marek Migała

PROLOG

Narzędzie Jahwe



— Barak — powiedziała. — Twoje imię jest Barak. Pamiętaj je, choćby zapomnieli ci je powiedzieć.

Mojżesz płakał tej nocy.

Nie płakał jak prorok — z twarzą wzniesioną ku niebu i słowami na ustach. Płakał jak człowiek, cicho, z głową opartą na dłoniach, przy dogasającym ogniu, gdy wszyscy spali i nikt nie mógł tego zobaczyć. Bo prorok nie może płakać publicznie. Bo wódz który płacze, oddaje wrogom oręż, którego żadna stal nie zastąpi.

Trzysta siedemnaście dni minęło od ostatniego cudu. Trzysta siedemnaście dni krwawych potrzasków, buntu, bluźnierstw i powątpiewania — i milczenia nieba, które nie dawało odpowiedzi. Lud szemrał. Gdzie jest twój Bóg, Mojżeszu? Gdzie manna gdy dzieci płaczą z głodu? Gdzie obietnica gdy starcy umierają w piachu?

Mojżesz nie miał odpowiedzi.

Miał tylko wiarę, a wiara w tę noc była jak lina nad przepaścią — trzymała, ale człowiek wiedział dokładnie ile pasm zostało.

Wyszedł z namiotu przed świtem i szedł przez obóz między śpiącymi namiotami, i nie wiedział dokąd idzie, bo cel jest luksusem tych, którzy nie noszą ciężaru całego narodu. Szedł po prostu, bo siedzenie niszczyło go szybciej niż ruch.

I wtedy zobaczył ogień Aszery.

Nie było w jej namiocie nic sprzecznego z prawem Mojżesza — żadnych bożków, żadnych ofiar, żadnych zakazanych rytuałów. Był tylko ogień, który płonął równo i ciepło, i kobieta siedząca przy nim z kolanami podciągniętymi pod brodę, patrząca w płomień z wyrazem kogoś, kto nie śpi, bo nie ma o czym marzyć.

Aszera.

Mojżesz znał ją z widzenia — każdy mężczyzna w obozie znał ją z widzenia — taka była jej natura i jej facha, i nie było w tym słowa potępienia, tylko opis. Była piękna w sposób, który nie był przypadkowy ani wrodzony, lecz wypracowany przez lata zrozumienia własnej siły. Miała za sobą kochanków z najwyższej półki — starszych rodów, dowódców tysięcy, posłańców królów. Nie brała tych, którzy mieli mniej niż wszystko do zaoferowania.

Podniosła wzrok gdy usłyszała jego kroki.

Patrzyła na niego przez chwilę bez żadnego wyrazu na twarzy — bez zaskoczenia, bez czci, bez lęku. Potem cofnęła się lekko, robiąc miejsce przy ogniu.

— Usiądź — powiedziała. — Wyglądasz jak człowiek który potrzebuje usiąść.

Mojżesz usiadł.

Przez długą chwilę żadne z nich nic nie mówiło. Ogień pykał. Na zewnątrz śpiewały świerszcze. Gdzieś daleko krzyczało dziecko, potem ucichło.

— Nie musisz mi tłumaczyć — powiedziała Aszera w końcu, nie patrząc na niego. — I nie musisz niczego udawać. Mam w tej chwili wolną noc.

Mojżesz spojrzał na nią.

Był człowiekiem z żelaza — to wiedzieli wszyscy, którzy go znali. Człowiekiem który rozmawiał z Bogiem jak z przyjacielem, który przeprowadził naród przez morze, który zniósł czterdzieści dni postu na Świętej Górze bez wody i bez pożywienia i wrócił z kamieniami w dłoniach.

Ale tej nocy był tylko starym, zmęczonym człowiekiem, który nie pamiętał kiedy ostatnio ktokolwiek zrobił mu miejsce przy ogniu bez żadnego powodu.

Został do świtu.

Wróciła go do siebie trzy razy przez następne tygodnie.

Za czwartym razem nie przyszedł. Nie dlatego, że nie chciał — dlatego, że Bóg przemówił do niego tej nocy w snach i głos był tak wyraźny, że obudził się z sercem bijącym jak przed bitwą. Znasz Prawo, Mojżeszu. Wiesz co

piszę do tych, którzy dzielą się z nierządnicą. Wiesz też, że jesteś Moim sługą, a sługa Mój nie należy do siebie.

Mojżesz wiedział.

Wiedział zanim poszedł do niej po raz pierwszy. Wiedział przez wszystkie noce, które tam spędził. Wiedział teraz, słuchając głosu, który nie zostawiał miejsca na negocjacje.

Posłał do niej posłańca z wiadomością i z zapasem złota wystarczającym na rok.

Aszera odesłała złoto.

Wróciło do niego zawinięte w kawałek jej szaty, bez słowa wyjaśnienia — bo Aszera potrafiła milczeć w sposób, który był głośniejszy od każdego krzyku.

Mijały miesiące. Mojżesz prowadził naród przez pustynię i rozstrzygał spory i rozmawiał z Bogiem i był wszystkim dla wszystkich, i nie wysyłał więcej posłańców, i nie siedł sam.

A potem przyszło do niego widzenie.

Przyszło w nocy, w tej godzinie przed świtem gdy sen jest najgłębszy i kiedy prorocy widzą to, czego nie mogą zobaczyć za dnia.

Mojżesz stał na wzgórzu i patrzył na ziemię, która nie była jeszcze ich — pagórki Kanaanu, doliny pełne mleka i miodu, miasta o murach sięgających nieba. I wiedział, tak jak się wie we śnie rzeczy których na jawie nie można pojąć, że tej ziemi nie dotknie jego stopa. Że jest granica wyznaczona przez Boga i że ta granica przebiega dokładnie tam, gdzie ziemia obiecana zaczyna się naprawdę.

Potem zobaczył chłopca.

Stał przed nim — może pięcioletni, może sześćioletni, z oczami ciemnymi i spokojnymi i z twarzą, która miała w sobie coś z twarzy Aszery i coś z jego własnej, i coś jeszcze trzeciego, czegoś, czego żadne z rodziców nie dało, bo to się nie daje — to się otrzymuje z góry.

Chłopiec miał w dłoniach miecz. Za duży na jego wiek, za ciężki, ale trzymał go pewnie — tak pewnie, jakby urodził się z nim w rękach.

Głos przyszedł z obłoku nad wzgórzem — ten głos, który Mojżesz znał jak własne imię, który słyszał w krzewie i na górze i w ciszy pustyni.

To jest Mój Miecz, Mojżeszu. Tam gdzie ty nie wejdiesz — on wejdzie. Tam gdzie twój naród będzie potrzebował ostrza — jego ramię będzie tym ostrzem. Ulepisz go z woli Mojej, nie z miłości swojej. Nie pozwolisz mu poznać ani ojca ani matki, bo miłość rodziców jest ciepłem które zmiękcza stal. Moje narzędzie musi być twarde.

Mojżesz obudził się z oczami mokrymi.

Siedział przez długą chwilę w ciemności namiotu i słuchał własnego oddechu, i nie modlił się, bo nie miał słów na to, o co chciał prosić — a proszenie o zmianę wyroku Bożego jest grzechem, który zna każdy prorok i który każdy prorok popełnia w sercu przynajmniej raz.

Potem wstał i wyszedł do namiotu Aszery.

Siedziała przy tym samym ogniu. Jakby wiedziała że przyjdzie. A może po prostu siedziała tak każdej nocy — bo kobieta która zna życie wie, że ogień i czujność są tanimi cenami za bezpieczeństwo.

Jej brzuch był duży. Dziecko za dwa, może trzy miesiące.

Mojżesz stanął przy wejściu i patrzył na nią, i nie wiedział jak zacząć, bo wszystkie słowa które miał były albo za małe albo za okrutne.

— Wiem — powiedziała Aszera, zanim zdążył otworzyć usta.

— Aszero—

— Wiem — powtórzyła spokojnie. — Siedziałam tu i myślałam, że nie przyjdiesz. Że wyślesz posłańca. Cieszę się, że przyszedłeś sam.

Mojżesz wszedł do środka i usiadł naprzeciwko niej. Ogień był między nimi.

— Miałem widzenie — powiedział.

— Wiem że miałeś. — Jej głos był spokojny w sposób, który nie był pokojem, lecz decyzją podjętą wcześniej i niezrewidowaną. — Co chce od nas twój Bóg?

Mojżesz powiedział jej.

Powiedział jej wszystko — o chłopcu z mieczem, o granicy której on nie przekroczy, o tym że dziecko ma być oddane obcym wojownikom i ma rosnąć w twardości, i ma nie wiedzieć nigdy kim był jego ojciec ani jego matka. Ma być narzędziem, a narzędzia nie mają historii — mają tylko przeznaczenie.

Aszera słuchała go bez ruchu, z oczami wpatrzonymi w ogień.

Gdy skończył, milczała przez długą chwilę.

— Twój Bóg — powiedziała w końcu, cicho i wyraźnie — ma odwagę chcieć bardzo wiele. Od ciebie. Ode mnie. Od dziecka, które jeszcze nie oddycha samodzielnie i które już zostało oddane.

Mojżesz nie odpowiedział, bo nie miał odpowiedzi która by pomogła.

— Czy kiedykolwiek — zapytała Aszera, i jej głos nie drżał, bo wściekłość u takich kobiet jest zimna, nie gorąca — pyta cię twój Bóg o zgodę? Czy tylko zawiadamia?

— Zawiadamia — przyznał Mojżesz.

— I ty się zgadzasz.

— Jestem Jego sługą.

— A ja? — Teraz uniosła na niego wzrok. — Czym jestem? Naczyniem, które rodzi Mu wojownika? Uczuciem, które możesz przeżyć a potem zostawić, bo twój Bóg ma ważniejsze plany?

Mojżesz milczał.

— Wyjdź — powiedziała Aszera.

— Aszero—

— Wyjdź — powtórzyła. — Proszę cię. Zanim powiem coś, czego żadne z nas nie chce żeby było powiedziane.

Mojżesz wstał.

Zatrzymał się przy wyjściu — z plecami do niej, bo nie umiał na nią patrzeć w tej chwili.

— Będzie silny — powiedział. — Twój syn. Silniejszy niż ktokolwiek z nas. Bóg mi to pokazał.

— Mój syn — powiedziała Aszera za jego plecami, i w jej głosie był cały ciężar tych dwóch słów. — Przez dwie chwile był mój. Dziękuję ci za tę informację, Mojżeszu.

Wyszedł w noc i nie odwrócił się, i nie wrócił więcej.

Chłopiec urodził się w miesiąc po tej rozmowie. Zdrowy, głośny, z ciemnymi oczami które patrzyły na świat z pierwszą nieufnością — tak jakby już wiedział, że świat nie zamierza mu niczego oddawać za darmo.

Aszera trzymała go przez trzy dni.

Trzy dni — tyle co sen, tyle co chwila przed burzą. Karmiła go i kołysała i mówiła do niego rzeczy, których nie zapisał żaden skryba i których nikt inny nie słyszał. Mówiła mu jak się nazywa i skąd pochodzi i co Bóg mu zabrał zanim jeszcze zrozumiał co to znaczy mieć.

Czwartego dnia przyszedł posłaniec Mojżesza.

Starszy mężczyzna z pokolenia Lewiego, spokojny jak człowiek który wykonuje przykre zadania na rozkaz wyższej władzy i który nauczył się nie myśleć za dużo o tym co robi. Czekał przy wejściu z ramionami wyciągniętymi.

Aszera wstała. Zawinęła chłopca ciasno w lniane płótno. Patrzyła na jego twarz przez chwilę — na te ciemne oczy, na usta matki i czoło ojca, na coś trzeciego co nie miało nazwy ale miało w sobie przyszłość.

Oddała go.

Bez łez — bo łzy byłyby za małe na to co czuła — ale z jednym słowem, wypowiedzianym do chłopca a nie do posłańca, cicho i wyraźnie jak wyrok:

— Barak — powiedziała. — Twoje imię jest Barak. Pamiętaj je, choćby zapomnieli ci je powiedzieć.

Posłaniec odszedł z dzieckiem.

Aszera stała przy wejściu do namiotu i patrzyła za nim, aż zniknął między rzędami namiotów, aż nie było już nic do patrzenia — tylko piach i słońce i obóz tętniący życiem, które jej nie dotyczyło.

Potem odwróciła się do nieba.

Nie modliła się. Nie prosiła. Nie błagała.

Mówiła — głosem cichym i zimnym jak gład w cieniu — do Boga którego nigdy nie prosiła o nic i który mimo to zabrał jej wszystko.

— Zapamiętaj — powiedziała do nieba. — Zabrałeś mi go zanim się urodził. Zabrałeś mi jego ojca. Zabrałeś mi trzy dni które były wszystkim co miałam. I mówisz mi, że on będzie Twoim mieczem. Twoim, nie moim.

Pauza.

— Dobrze. Niech będzie Twoim. Ale niech wie, gdziekolwiek pójdzie i cokolwiek zrobi — że jego siła nie jest z Twojej łaski. Jest z mleka kobiety którą zostawiłeś z pustymi ramionami. Z bólu ojca który nie miał odwagi zostać. I z woli małego dziecka, które przez trzy dni wiedziało że jest kochane — i które będzie nosiło tę wiedzę w kościach, nawet gdy nie będzie umiało powiedzieć skąd pochodzi.

Weszła do namiotu.

Ogień przy wejściu dogasał powoli w porannym słońcu.

Gdzieś daleko, w ramionach posłańca z pokolenia Lewiego, małe ciemne oczy patrzyły w niebo.

Kaleb wiedział.

Wiedział od początku — Mojżesz powiedział mu, ktoś musiał wiedzieć, a sekrety tej wielkości niszczą człowieka od środka jeśli nie ma komu ich powiedzieć. Kaleb był właściwą osobą: starym wojownikiem, który umiał milczeć i który rozumiał, że niektóre prawdy są bronią i że broń nie powinna leżeć na widoku.

Obserwował Baraka od kiedy chłopak trafił do oddziałów szkolnych. Obserwował jak rośnie — za szybko, za mocno, z tą spokojną intensywnością, która nie jest cechą wojownika z wychowania lecz czymś wrodzonym, czymś co nie pochodzi z ćwiczeń ani z dyscypliny, lecz z głębszego miejsca, którego żaden nauczyciel nie sięga.

Obserwował i milczał.

Bo tak nakazał Mojżesz. Bo tak chciał Bóg. Bo chłopiec, który nie zna swojej historii, patrzy przed siebie, a nie za siebie — i idzie dalej niż ten, który zna.

Czasem jednak, gdy Barak ćwiczył na wzgórzu sam przed świtem i jego sylwetka rysowała się na tle wschodzącego słońca, Kaleb widział w nim coś, czego nie pamiętał z żadnych pól bitwy ani z żadnych obozów wojskowych, a co widział dokładnie raz — na twarzy starca klęczącego przed Przybytkiem z zakrwawionymi skalpsami lwów u stóp i z pytaniem w oczach, które nie było pytaniem do Boga lecz do siebie samego.

Pytanie brzmiało: za ile warte jest to wszystko?

Kaleb nie znał odpowiedzi.

Ale wiedział, że Barak też kiedyś je zada.

I że w dniu gdy je zada — wszystko co nastąpi po tym dniu, zależy od tego, co mu się odpowie.

ROZDZIAŁ I

Dwie Bestie



— Przekleństwo na twoje plemię, wojowniku — syknęła postać pod kapturem. I znikła.

Sen przyszedł ciężki.

Barak stał na wzgórzu i patrzył na obóz Izraela. Dwanaście kręgów namiotów, każdy pod własnym znakiem, każdy ze swoimi starszymi i swoimi grzechami. Z centrum, skąd łopotały proporce Rubena, zaczęła wypływać czarna mgła — gęsta, żywa, taka, której nie robi zwykłe ognisko. Pożerała blask gwiazd. Z oparów wyłaniały się kształty, których nie ulepiła żadna ludzka

ręka.

Dwa lwy wyskoczyły z mroku i rzuciły się na Mojżesza.

Barak widział jak kły rozrywają szaty proroka, jak krew płami piasek. Za plecami bestii płonęły ludzkie oczy — zimne, pełne jadu, zadowolone z siebie.

Wizja przeskoczyła. Mojżesz klęczał na Świętej Górze i płakał, a skały trzęsły się od jego płaczu. Z obłoku dobiegł głos, przy którym pękały błony bębenkowe: Mówiłem ci, Izraelu: Nie będziesz miał bogów cudzych przede Mną. A ty, co uczyniłeś?

Barak zerwał się przed świtem.

Pot spływał mu po karku. Dłonie zaciskały się na nieistniejącej rękojeści. Nie czekał na pierwsze promienie słońca — chwycił miecz i wyszedł na skaliste wzgórze nad obozem, bo po takim śnie jedyne co pomaga to ruch i stal.

Ćwiczył w samotności, bo o tej porze nikt rozsądny jeszcze nie wstał.

Ruchy Baraka nie miały w sobie nic z ociężałości zwykłego wojownika. Stal świszcziała, kreśląc wzory, cięcia pionowe przechodziły w pchnięcia bez pauzy między nimi. Każdy miesiąc pracował oddzielnie i razem. Zatracił się w tym całkowicie — istniało tylko ostrze i wyobrażony wróg, i rytm, który był jego własny i nie miał nazwy.

Nie zauważył Kaleba, dopóki stary dowódca nie odchrząknął.

— Mistrzu — mruknął Barak, nie odwracając głowy. Czubek miecza drżał milimetry nad ziemią.

— Przerosłeś moich nauczycieli — odparł Kaleb, podchodząc bliżej. — Ale serce bije ci dzisiaj zbyt szybko. Co widziałeś w nocy?

Barak opowiedział mu sen. Krótko, bez ozdób — bo Kaleb nie lubił ozdób.

Stary dowódca milczał długo, gładząc siwą brodę.

— Czuję to samo, synu. Elisur sieje niepokój, podkopuje autorytet starszych, a jego ludzie szepczą w cieniach. Dowodów nie mamy — jest zbyt przebiegły na dowody. — Wskazał na horyzont. — Wysłałem najlepszych myśliwych. Nie wrócili ze skórami. W atakach tych bestii jest metoda. Inteligencja, która nie pasuje do dzikiego zwierza.

W tej chwili obaj dostrzegli ruch przy bramie obozu.

Mała grupa strażników wracała z pustyni. Nie szli dumnie. Niesli na marach ciała.

Barak i Kaleb zeszli ze wzgórza w milczeniu. Przy bramie zobaczyli to, co zostało z myśliwych. To nie była śmierć od pazurów — ciała ułożone w rytualny symbol, demonstracja siły, podpis. Ktoś chciał żeby obóz wiedział, że to nie był wypadek.

Barak patrzył na to przez chwilę. Potem podniósł wzrok.

— Myśliwi zginęli, bo szukali zwierząt — powiedział. Jego głos był zimny i spokojny, bo te dwa przymiotniki nie wykluczają się. — Ja nie będę szukał lwów. Będę szukał tego, kto nimi kieruje.

Barak nie zapomniał tego dotyku.

Szedł przez obóz z zakrwawionymi rękoma i skórą lwa na ramionach, i czuł jeszcze na czubku głowy chłód dłoni

Mojżesza — nie zimno skóry starca, coś innego, coś co nie miało nazwy w żadnym języku, który znał. Jakby ktoś położył na nim ciężar, który nie waży nic i który waży wszystko jednocześnie.

Nie był to pierwszy raz gdy Mojżesz na niego patrzył.

Ale był to pierwszy raz, gdy Barak zauważył, jak patrzy.

Nie jak wódz na żołnierza. Nie jak prorok na narzędzie. Było w tym spojrzeniu coś osobistego — coś, co nie pasowało do ceremonii i co Mojżesz przykrył szybko powrotem do roli proroka, ale co przez ułamek sekundy było nagie i nieprzygotowane. Jakby starzec widział kogoś innego. Kogoś, kogo szukał od dawna albo kogoś, za kogo się bał od dawna — Barak nie umiał powiedzieć, które.

Wychowali go wojownicy. Mężczyźni z dziesiątek i pięćdziesiątek, którzy uczyli go trzymać miecz zanim nauczył się wiązać sandały, i którzy nie mówili o matkach — matki były gdzie indziej, matki nie szły na zwiad przed świtem, bo matki nie były tematem przy ognisku. Barak nauczył się nie pytać. Pytanie o ojca jest oznaką słabości — tak mówił pierwszy instruktor, który uczył go walki. Barak miał wtedy siedem lat i uwierzył, bo nie miał innego modelu.

Teraz miał dwadzieścia i instruktor już nie żył i model się zachwiał.

Ktoś go urodził. Ktoś go zostawił. Ktoś zdecydował, że wyrośnie wśród wojowników zamiast przy kobiecie, która go nosiła. Te fakty były pewne. Reszta — nie.

Imię Aszery słyszał raz, przy studni, gdy dwaj starcy rozmawiali o czymś, co urwali gdy go zobaczyli. Tylko tyle. Imię kobiecie, bez pokolenia, bez historii. Wystarczy, żeby wiedzieć, że ktoś istnieje. Za mało, żeby cokolwiek z tym

zrobić.

Barak chwycił mocniej rękojeść miecza i przestał myśleć — bo myślenie o tym, czego nie wiesz, jest jak chodzenie w ciemności bez pochodni. Można chodzić. Ale mija się cały czas.

Chwycił mocniej rękojeść miecza. Czas ćwiczeń się skończył.

Tego jeszcze nie wiedział — że w cieniu przy bramie obozu ktoś obserwował jego plecy i liczył kroki.

Eltolad był wysoki i chudy, jego twarz nie nosiła jeszcze wielu blizn, ale oczy miał stare. Przepełnione smutkiem kogoś, kto widział zbyt wiele i kto nie miał wyboru w kwestii kiedy zacząć widzieć. Stał przed Barakiem, ściskając swój dębowy łuk.

— Mówią, że potrafisz wytropić ducha na skale — rzucił Barak.

— Duchy nie zostawiają zapachu strachu — odparł Eltolad beznamiętnie. — Te lwy tak. Ale to nie jest zwykły strach. One pachną jak padlina, która jeszcze chodzi.

Wyruszyli o świcie. Barak, Eltolad i siedmiu myśliwych, którzy mieli tę zaletę, że potrafili słuchać rozkazów, i tę wadę, że jeszcze nie rozumieli z czym idą.

Ślady były makabryczne. Rozszarpane gazy, których mięso było nienaruszone — lwy zabijały dla przyjemności niszczenia, nie z głodu. Obok potężnych odcisków łap Eltolad dostrzegł coś jeszcze.

— Stój — powiedział cicho, przykucając.

Dotknął zakrwawionego piasku przy odcisku stopy. Wąskiej, niemal ludzkiej, bosej.

— Ktoś je prowadzi. To nie jest polowanie. To jest procesja.

— Kapłan — powiedział Barak.

— Albo szalony — odparł Eltolad. — Choć różnica bywa niewyraźna.

Rozdzielili się przy wejściu do kanionu. Barak i Eltolad ruszyli wyżej, ku wąskim przesmykom. Reszta myśliwych została w korycie wyschniętego wadi — pułapka zatrzasnęła się z hukiem kamieni i echo rozdarł nieludzki ryk.

— W dół! — ryknął Barak.

Zbiegli po piargach. Trzej myśliwi leżeli w strzępach. Dwaj pozostali trzymali się jeszcze. Barak wpadł między nich rycząc imię Pana — w takiej chwili imię Pana jest sygnałem bojowym, nie modlitwą — i jego miecz zatańczył, rozcinając bok pierwszego lwa. Eltolad z góry posyłał strzałę za strzałą z precyzją, która nie miała czasu na dramaturgie. Bestie wycofały się w rozpadliny.

Ruszyli w pościg. Wpadli w kocioł skalny.

Pułapka w pułapce.

Pierwszy lew runął z nawisu. Eltolad wypuścił trzy strzały w locie — oko i pierś — a Barak dokończył włócznią. Drugi wyskoczył z cienia: czarny, potężniejszy, bez ostrzeżenia. Uderzenie powaliło Eltolada o skałę i chłopak znieruchomiał.

Barak został sam. Miecz pękł przy rękojeści gdy lew uderzył łapą.

Zwarli się.

Lew ważył tyle co trzy Baraki i nie wiedział co to zmęczenie. Barak trzymał go za gardziel obiema rękami, zaparty nogami w piach, i czuł jak mięśnie napinają się do punktu kiedy skóra pęka od wysiłku. Tylne pazury szarpały mu bok. Potem poczuł to — ogień od środka, biały, bez koloru, silniejszy od bólu i silniejszy od wszystkiego co człowiek ma z własnych zasobów.

Chwycił lwa za szczękę i kark. Wbił w piach. Skręcił.

Suchy trzask.

Wyrwał odłamek skały z ziemi i wbił go w czarne serce lwa. Żeby mieć pewność.

Wąwóz zamilkł.

Barak leżał pod martwym cielskiem i po prostu oddychał, bo to była pierwsza rzecz na którą miał siłę. Z grani nad nim dobiegł syk:

— Przekleństwo na twoje plemię, wojowniku.

Postać pod kapturem. Chwilę potem znikła. Kapłan Baala — ten który prowadził lwy zamiast psów i który teraz wiedział, że ta metoda nie wystarczy.

Barak ocucił Eltolada, opatrzył mu ranę głowy. Chłopak żył — potłuczony, z sińcem wielkości dłoni na skroni, ale żywy i w pełni świadomy własnych uczuć w kwestii wtykania głowy w skały.

— Nie ścigamy go — mruknął Barak. — Dzisiaj zabieramy naszych braci do domu.

Zza skalnego załomu wyjechała kobieta na koniu.

Barak rozluźnił uścisk na złamanym oścu, bo rozpoznał ją zanim koń się zatrzymał. Tirza obejrzała go

wzrokiem który liczy, nie podziwia. Widziała: ciemną skórę spaloną przez lata pustyni, włosy czarne i krótkie, ramiona człowieka dla którego siła jest stanem naturalnym jak oddychanie — nie wypracowana, wrodzona, ta która nie znika gdy człowiek jest zmęczony. Był ciężki jak kamień któremu ktoś dał nogi. Oczy spokojne, ciemne, z wyrazem ludzi zbyt zajętych rzeczywistością żeby zajmować się wrażeniem które robią. Na policzku świeża rysa od pazura — głęboka, nie leczona. Tirza córka Jozuego wyglądała jakby przyjechała na przegląd wojsk — wyprostowana, z łukiem przez ramię, z oszczepem przy siodle i z wyrazem twarzy kogoś, kto ma coś do powiedzenia i cierpliwie czekał na właściwy moment.

Spojrzała na Baraka. Spojrzała na martwego lwa. Uśmiechnęła się.

— Baraku z Efraima. Zabrałeś mi moje trofeum.

— Twoje trofeum — powtórzył Barak z miną kogoś, kto właśnie przeżył piekło i ma ograniczoną cierpliwość do żartów. — To bydle niemal mnie pożarło.

— Niemal. — Tirza obeszła lwa, oceniając go jak myśliwy który naprawdę zna się na zwierzynie. — Bo byłam na jego tropie od dwóch dni i miałam go wystawionego na strzał, ale wtedy wmieszałeś się ty ze swoim wiejskim tupetem i popsuleś robotę.

— Wiejskim tupetem — powtórzył Eltolad z ziemi, gdzie wciąż siedział z dłonią przy skroni. — To mnie cieszy. Przez chwilę myślałem, że to było prawdziwe niebezpieczeństwo.

Tirza spojrzała na niego inaczej niż przed chwilą.

— Kto to jest — powiedziała do Baraka.

— Eltolad. Łucznik. Zabił pierwszego lwa trzema strzałami w locie.

— Dwoma byłoby wystarczające — mruknął Eltolad. — Trzecia była dla porządku.

Tirza kiwnęła głową — ten rodzaj kiwnięcia, który oznacza że człowiek trafił na kogoś wartego zapamiętania — i zajęła się koniem.

Wrócili do obozu niosąc skóry lwów i martwych myśliwych, i wiadomość, która biegła przed nimi szybciej niż oni sami.

W purpurowym namiocie panował zaduch gęstszy niż dym z palonego łajna.

Elisur stał nad mapą pustyni. Przy jego stopach klęczał kapłan Baala — ten który uciekł z grani — z rękami drżącymi od strachu i od wysiłku opisanie czegoś, dla czego nie miał właściwych słów.

— To nie była siła śmiertelnika, panie — szeptał kapłan. — Widziałem jak ogień wypełnił jego żyły. Rozdarł bestię gołymi rękami.

Elisur uderzył pięścią w stół. Wino rozlało się na pergamin.

— Siły Baraka nie przebijesz włócznią — powiedział cicho, i ten spokój był gorszy od krzyku. — Mur się podkopuje, nie przebija.

Do namiotu weszła Tamar z tacą owoców. Była wtedy jeszcze młodsza, nieświadoma mroku w który wchodziła, ale już zachłanna na luksus — i Elisur rozpoznał to od pierwszego spojrzenia, bo takie rzeczy rozpoznawał od zawsze.

— Twoja siostra jest blisko z Sirą — powiedział łagodnie. — A twój brat, ten wielki kowal, boi się ciemności. Obserwuj ich. Każdy lęk twojego brata, każde wspomnienie Siry — to broń. A ty będziesz nosić jedwabie, o jakich córki Izraela mogą tylko śnić.

Tak narodził się pakt. Podczas gdy Barak obmywał krew lwów z ramion, Elisur zaczął tkać sieć.

Słońce chyliło się ku zachodowi.

Barak stanął przed Mojżeszem u wejścia do Przybytku. Prorok wyglądał na starszego i bardziej zmęczonego niż kiedykolwiek — jakby dźwigał ciężar wszystkich grzechów wszystkich plemion i każdego dnia ten ciężar rósł. Obok stali Jozue i Kaleb z dłońmi na rękojeściach mieczy.

Barak ukląkł i rzucił u stóp Mojżesza zakrwawione skóry lwów. Gest był wyraźniejszy od słów.

— Pan dał mi siłę, ojcze. Bestie nie będą już nękać Izraela.

Mojżesz położył suchą, żyłastą dłoń na jego głowie. Barak poczuł chłód — nie zimno, coś innego. Coś co było starsze od niego i większe od wszystkiego, co znał z własnego doświadczenia.

— Zabiłeś lwy, Baraku. Ale lwy to tylko zęby. Prawdziwy potwór wciąż siedzi w cieniu i czeka. — Pauza. — Bądź Młotem w ręku Pana. Nadchodzą dni, gdy stal będzie cenniejsza od wody, a wiara trudniejsza niż marsz przez morze. Błogosławię cię. Będziesz mieczem, który wyrąbie drogę do Ziemi Obiecanej.

W tłumie stał Elisur.

Patrzył na tę scenę z twarzą, na której nie było nic — żadnego gniewu, żadnej zazdrości, żadnej emocji, która

mogłaby go zdradzić. Tylko oczy pracowały: szacowały, liczyły, planowały.

— Im wyżej go wyniosą — szepnął do stojącego obok Rubenity — tym boleśniejszy upadek. Kiedy skończę z tym obozem, Mojżesz będzie błagał o śmierć, a jego miecz złamie się we własnych rękach.

Zdrada która dojrzewała przez następne dwa lata miała swój początek właśnie tutaj, w tym blasku chwały.

Barak stał się symbolem. Elisur postanowił ten symbol splugawić.

Ogień w Kościach

Miał osiem lat i nie bał się niczego, co miało twarz.

Bał się tylko jednej rzeczy — że Amnon uzna trening za skończony, zanim on sam uzna, że nauczył się wystarczająco. To był jego jedyny lęk i nosił go jak inni chłopcy noszą kamyki w kieszeni — zawsze przy sobie, zawsze gotowy do wyciągnięcia.

Amnon był mistrzem miecza z pokolenia Efraima. Stary, twardy, z rękami które wyglądały jak korzenie drzewa akacjowego — żylaste, suche, mocniejsze niż sugerował wygląd. Uczył chłopców walki odkąd pamiętał, i przez te wszystkie lata nauczył się jednej rzeczy, którą wiedział zanim zaczął uczyć, ale którą rozumiał dopiero teraz: że ciało można wyćwiczyć, ale ogień w człowieku albo jest albo go nie ma.

W Baraku był.

Chłopak wstawał godzinę przed innymi.

Amnon wiedział, bo Amnon wstawał półtorej godziny przed wszystkimi — tak jak każdy dobry nauczyciel wstaje wcześniej niż jego uczniowie, żeby widzieć ich takich jacy są, gdy myślą że nikt nie patrzy. I każdego ranka, gdy stary mistrz wychodził z namiotu w szarość przed wschodem słońca — tę konkretną szarość, która nie jest ani nocą ani dniem, kiedy powietrze ma ten chłód który nie jest zimnem ale jest jedyną chwilą kiedy pustynia jest chłodna i kiedy oddech paruje lekko przed twarzą — widział na placu ćwiczeń już jedną sylwetkę.

Małą. Ciemną. Z drewnianym mieczem w dłoni. I z potem już widocznym na ramionach mimo porannego chłodu — bo był już tutaj wystarczająco długo żeby ciało zdążyło się nagrzać od środka, zanim słońce zaczęło je grzać z zewnątrz.

Barak ćwiczył sekwencję którą pokazał mu poprzedniego dnia — ten sam ruch w kółko, bez końca, z tą metodyczną cierpliwością która nie jest cechą ośmioletnich chłopców, lecz starców albo ludzi nawiedzonych czymś co nie daje spokoju. Pionowe cięcie. Zwrot nadgarstka. Krok w lewo. Pozycja obronna. Ponownie.

Nie patrzył na ręce. Patrzył przed siebie — w coś, czego nie było na placu. W coś, co widział tylko on.

Amnon obserwował go przez chwilę z wejścia do namiotu.

Potem wrócił do środka i usiadł i siedział przez długą chwilę w ciemności, bo był człowiekiem który w całym swoim życiu widział może trzy lub cztery osoby z tym rodzajem ognia — i każda z nich zostawiła po sobie historię, którą opowiadano jeszcze po ich śmierci.

Amnon przyniósł kamień tej samej wielkości co głowa człowieka.

Był to kamień bazaltowy, czarny, wygładzony przez wieki w jakimś dawno wyschniętym korycie — ciężki jak sumienie, z powierzchnią która nie ma słabych miejsc, jednolita i twarda na wylot. Amnon przyniósł go przed świtem i postawił na drewnianym paliku pośrodku placu, i gdy Barak przyszedł na poranny trening, kamień już czekał — czarny, spokojny jak wszystko co jest naprawdę twarde. Słońce właśnie wychodziło znad wschodniego

horyzontu i pierwsze światło kładło się ukośnie przez plac, długie i złote, i kamień na paliku rzucał cień wąski jak wskazówka zegara słonecznego.

Amnon odszedł dwadzieścia kroków. Odwrócił się.

— Uderz go — powiedział do Baraka. — Drewnianym. Pełna siła.

Barak spojrzał na kamień. Spojrzał na miecz. Spojrzał na Amnona — tym konkretnym spojrzeniem, które miał gdy oceniał, czy polecenie ma sens. Potem uderzył.

Drewniane ostrze rozłupało się przy trzeciej ćwiartce długości. Kamień stał nienaruszony. Ból przeszył ramię od nadgarstka do łopatki.

Barak stał z połową miecza w dłoni i patrzył na kamień.

— Teraz bez miecza — powiedział Amnon.

Chłopak odwrócił się.

— Słucham?

— Widziałem jak uderzasz kamień z mieczem. Teraz chcę zobaczyć jak uderzasz bez.

Barak odłożył połamane drewno. Stanął przed kamieniem. Uniósł pięść — małą, jeszcze chłopięcą, z kłykciami które nie miały jeszcze blizn.

Amnon patrzył.

Potem stało się coś, o czym stary mistrz mówił przez resztę życia tym, którzy pytali dlaczego Barak jest inny. Coś, czego nie umiał opisać lepiej niż słowami które brzmiały jak bajka, ale które widział na własne oczy i którym wierzył, bo był człowiekiem który nie opowiadał bajek.

Przed uderzeniem — przez ułamek sekundy który był zbyt krótki na myśl ale wystarczający na wrażenie — skóra na ramieniu chłopaka rozgrzała się. Nie od słońca. Od środka. Jakby coś pod skórą zapłonęło — cicho, bez ognia, bez dymu, jak żarzący się metal zanim jeszcze dojdzie do temperatury iskry.

Pięść trafiła kamień.

Kamień pękł.

Nie skruszał. Nie opadł z palika. Pękł — pionowa linia od góry do dołu, czysta jak cięcie dobrym ostrzem — i dwie połowy osunęły się na ziemię po obu stronach palika.

Barak stał i patrzył na swoje dłonie.

Nie bolały.

— Skąd to wiesz — powiedział Amnon. Nie pytał. Stwierdzał.

— Nie wiem — odparł Barak. — Po prostu wiem kiedy to jest. Jakby coś się otwiera w środku. Tylko na chwilę.

— I co czujesz.

Chłopak milczał przez moment.

— Ciepło — powiedział w końcu. — Takie jak przy ognisku. Ale od środka.

Amnon kiwnął głową. Powoli. Tak jak kiwa głową człowiek który usłyszał właśnie potwierdzenie czegoś o czym wiedział od dawna i co go wcale nie raduje.

— Dobrze — powiedział. — Teraz połóż kamienie z powrotem i zacznij od sekwencji pierwszej.

Barak rozejrzał się za połówkami kamienia.

— Jak mam złożyć coś co jest w dwóch kawałkach.

— Właśnie. — Amnon odwrócił się do wyjścia. — Dlatego lepiej nie łamać rzeczy których nie chcesz naprawiać. To lekcja na dziś.

Tego samego popołudnia, gdy upał zelżał i plac ćwiczeń wypełnił się starszymi chłopcami i kilkoma młodymi wojownikami, Barak ćwiczył sekwencję z prawdziwym mieczem — krótkim, dziecięcym, odrobinę za ciężkim na jego wiek, ale tak chciał i Amnon pozwolił, bo uczył się tego kiedy ostrze opiera się woli, a nie gdy chodzi lekko. Popołudnie miało tę konkretną jakość późnego lata kiedy powietrze nad piaskiem drży i kiedy cień jest rzadkim dobrem, i kiedy pot wchodzi w oczy i kiedy to wszystko jest właśnie częścią ćwiczenia — bo walka nie czeka na dobrą pogodę i ciało musi wiedzieć jak pracować gdy chciałoby odpocząć.

Przy bramie placu stała kobieta.

Barak zauważył ją w połowie sekwencji — nie dlatego że robiła coś żeby na siebie zwrócić uwagę. Przeciwnie. Stała nieruchomo, z boku, tam gdzie stają ludzie którzy nie chcą być widziani ale nie potrafią odejść. Okryta była lnianym płaszczem mimo że dzień był gorący, i miała twarz nakrytą częścią chusty — nie szczelnie, nie całkowicie, jakby próbowała ukryć się tylko trochę. Jakby trochę wystarczyło.

Barak skończył sekwencję. Zatrzymał się.

Kobieta płakała.

Nie głośno — cicho, z tym konkretnym sposobem płakania który jest gorszy od głośnego, bo widać że człowiek długo ćwiczył żeby to opanować i że mimo wszystko nie do końca mu wychodzi. Łzy szły po twarzy

jedna za drugą, metodycznie, jak coś czego nie można zatrzymać wolą, tylko można udawać że tego nie ma.

Barak odłożył miecz.

Podszedł do bramy.

Stanął przed nią — mały, ośmioletni, z potem na czole i z kawałkiem piachu na kolanie od wcześniejszego upadku — i patrzył na nią z wyrazem twarzy kogoś który widzi problem i który domyśla się że nie jest w stanie go rozwiązać, ale który zapyta o niego mimo wszystko.

— Czemu piękna pani płacze — zapytał.

Kobieta zamarła.

Patrzyła na niego przez chwilę — przez tę chwilę która jest za długa na przypadkowe spojrzenie i za krótka na cokolwiek sensownego — z oczami mokrymi i z twarzą po której przechodziło coś zbyt skomplikowanego na jedną nazwę.

— Nic mi nie jest — powiedziała. Jej głos był spokojny. Za spokojny. Taki spokój kosztuje.

— Ludzie którym nic nie jest nie płaczą — stwierdził Barak rzeczowo. — Tak powiedział Amnon. I Amnon ma rację w większości rzeczy.

Przez twarz kobiety przeszło coś, co było blisko uśmiechu ale nie dotarło do końca.

— Twój mistrz jest mądry — powiedziała.

— Mówi że nie. Mówi że mądrość to myślenie że się jest głupim. — Barak zmrużył oczy. — Nie rozumiem tego jeszcze. Ale zapamiętałem.

Kobieta patrzyła na niego.

Długo. Tak długo, że Barak zaczął się zastanawiać czy powiedział coś nie tak.

— Jak masz na imię — zapytała w końcu.

— Barak — powiedział.

Coś się w niej zatrzęsło. Niezauważalne dla nikogo kto nie patrzył uważnie. Barak patrzył uważnie, bo Amnon uczył go że uważność jest pierwszą bronią i ostatnią.

— To piękne imię — powiedziała po chwili.

— Podobno. — Barak wzruszył ramionami. — Skąd pani wie?

— Wiem — powiedziała tylko.

Potem odwróciła się i odeszła między namioty, szybko, nie oglądając się — jakby gdyby się obejrzała, to coś by się skończyło, co jeszcze nie powinno się kończyć.

Barak patrzył za nią aż znikła.

Potem wrócił na plac i wziął miecz i ćwiczył sekwencję od nowa, bo tak powiedział Amnon: przerwa jest skończona gdy jest skończona, nie gdy się ma na to ochotę. Plac ćwiczeń był teraz pełen — starsi chłopcy i młodzi wojownicy poruszali się w pyle popołudnia, przy szczęku drewna i okrzykach i przy miarowym oddechu ludzi pracujących pod gorącym niebem — i Barak wszedł między nich i stał się częścią tego rytmu i ćwiczył do zmierzchu.

Ale przez resztę popołudnia myślał o kobiecie przy bramie.

O tym jak na niego patrzyła. Jakby знаła go z miejsca, w którym on jeszcze nie był.

Jakby wiedziała o nim coś, czego on jeszcze nie wiedział o sobie.

Próba Starszyny

W dwunastym roku życia Barak stanął przed starszą pokolenia Efraima i nie ukląkł.

Był środek lata. Namiot starszyny stał na zachodnim skraju obozu, gdzie cień zbierał się dopiero po południu — ale przesłuchanie wyznaczono na poranek, kiedy słońce biło prosto przez wejście i rozgrzewało płótno do temperatury pieca garncarka. Siódma godzina ranka i już można było czuć jak ziemia pod sandałami oddaje nagromadzone nocne ciepło, jak suchość pustyni wchodzi przez nozdrza i osadza się w gardle ciężarem czymś między kurzem a popiołem.

Nie dlatego że nie wiedział jak. Wiedział — Amnon uczył ceremonii tak samo jak uczył sekwencji walki, bo powiedział że człowiek który nie umie się skłonić jest głupcem, a człowiek który klęka przed każdym jest narzędziem. Barak wiedział jak. Zdecydował że nie.

Siedmiu starszych siedziało w półkołu na stołkach przed nim. Mieli twarze ludzi przyzwyczajonych do tego że chłopcy klękają. Mieli też — Barak to widział, bo nauczył się czytać twarze wcześniej niż większość dzieci uczy się czytać litery — mieli też w tych twarzach coś, czego wcześniej nie kojarzył ze starszymi: niepewność.

Przez szczelinę przy wejściu wpadał pas gorącego światła i kładł się ukośnie na ubitej ziemi między nim a półkołem stołków jak linia którą każdy widzi a nikt nie nazywa. Z zewnątrz dobiegał obóz — głosy, ruch stad, rytmiczne uderzenia młota kowala z północnej części obozu, regularne jak oddech śpiącego człowieka — a tutaj

było powietrze wilgotne od oddechów siedmiu mężczyzn, gorące, skupione, z tym zapachem starego płótna i oliwy do lamp który charakteryzował wszystkie namioty gdzie coś się decyduje.

Nie wiedzieli co z nim zrobić.

Przez ostatnie cztery lata Amnon oddał go sześciu mistrzom.

Nie dlatego że sam nie wystarczał — Amnon nie mówił wprost, ale Barak rozumiał: był jednym mistrzem, który znał jeden styl, a chłopak przed nim rósł poza każdy styl który znał. Więc posłał go do innych.

Jotam z Danu — mistrz włóczni, który uczył jak czuć opór powietrza na ostrzu i jak ten opór zmienić w prędkość. Miał siedemdziesiąt dwa lata i rzucał włócznią celniej niż większość młodych wojowników z zamkniętymi oczami. Z Barakiem ćwiczył przez sześć miesięcy i po sześciu miesiącach powiedział Amnonowi: nie mam mu czego dać. Wie już wszystko co wiem. Nie wiem jak.

Ezer z Manassesa — mistrz łuku i procy. Dał Barakowi ciężki łuk — zbyt ciężki dla dwunastolatka, Ezer wiedział o tym i chciał zobaczyć co chłopak robi z oporem. Barak naciągnął go pierwszego dnia. Nie idealnie — ręka drżała, cel był za daleko — ale naciągnął. Tydzień później strzelał z niego jak z łuku dla dorosłych. Ezer napisał do Amnona list, jedno zdanie: Ten chłopiec jest albo błogosławiony albo przeklinany. Nie wiem które i nie chcę wiedzieć.

Kena — stara kobieta bez pokolenia, która uczyła walki bez broni. Mieszkała na skraju obozu i nie odzywała się do nikogo kto nie pytał. Wzięła Baraka na tydzień i przez tydzień nie powiedziała mu ani słowa — tylko pokazywała ruchy i patrzyła jak powtarza. Na końcu tygodnia

powiedziała jedno zdanie: Ciało wie. Głowa przeszkadza. Odejdź.

Trzej inni uczyli go taktyki, czytania terenu, historii bitew. Tego uczył się jak każdy uczeń — przez słuchanie i zapamiętywanie. Tu nie było ognia. Tu była praca i Barak pracował, bo praca bez ognia jest jedynym sposobem żeby ogień nie spalił wszystkiego dookoła.

Kaleb obserwował go przez cały czas.

Barak to wiedział — Kaleb był dobry w obserwowaniu ale Barak był lepszy w wyczuwaniu kiedy ktoś patrzy. Przez cztery lata prowadzili ze sobą rozmowę bez słów, która była rozmową o tym: ty wiesz że ja wiem i ja wiem że ty wiesz i żadne z nas nie mówi tego głośno.

Starszyna wezwała go po tym jak złamał ćwiczebny słup.

Nie celowo — po prostu uderzył z pełną siłą bez zastanowienia, bo Amnon powiedział uderz i on uderzył, i słup — dębowy, gruby na dwie dłonie — złamał się w połowie długości z dźwiękiem który słyszało pół obozu. Amnon nie był zaskoczony. Reszta tak.

Było to wczesne popołudnie, pora kiedy większość obozu szuka cienia i kiedy plac ćwiczeń bywa pusty — ale tego dnia nie był pusty, bo Amnon ćwiczył z nim sekwencję uderzeń przed grupą młodych wojowników którzy mieli się przypatrywać i którzy teraz stali w milczeniu z twarzami ludzi, którzy zobaczyli coś czego się nie spodziewali. Górna połowa słupa leżała na piasku w odległości czterech kroków. Dolna stała pionowo jak zawsze. Szpara pęknięcia była czysta jak cięcie noża.

Barak patrzył na nią przez chwilę.

Obóz wokół brzęczał południowym życiem — gdzieś płakało dziecko, gdzieś indziej kobiety śpiewały przy mieleniu zboża, wiatr niósł od wschodu zapach gotowanego mięsa i dymu — i wszystko to było normalne i tylko ten złamany słup na placu nie pasował do tej normalności jak pęknięcie w garnku który jeszcze nie wygląda na pęknięty.

Pytania były przewidywalne: skąd ta siła, czy używa zakazanych praktyk, kto jest jego rodziną, dlaczego nie klęka, czy Bóg Izraela mówił do niego bezpośrednio.

Na ostatnie pytanie Barak odpowiedział po namyśle.

— Nie — powiedział. — Bóg do mnie nie mówi. Jest cicho.

— To skąd — syknął jeden ze starszych, długi i chudy jak trzcina, z brodą sięgającą piersi — ta siła. Nikt nie ma takiej siły. Nie w tym wieku. Nie bez powodu.

Barak patrzył na niego.

— Jest we mnie ogień — powiedział spokojnie. — Nie zawsze. Tylko kiedy muszę. Wchodzi od środka i jest gorący i potem odchodzi. Nie wiem skąd przychodzi. Amnon mówi że z Boga. Nie wiem czy tak. Wiem że jest.

Cisza w namiocie starszyzny.

— To herezja — odezwał się inny starzec.

— Nie — powiedział Kaleb.

Wszyscy obrócili się na niego. Kaleb siedział z boku, nie w półkolu — był tu jako obserwator, nie jako sędzia — i miał twarz człowieka który słucha od dawna i który właśnie usłyszał potwierdzenie czegoś, na co czekał lat kilkanaście.

— W Księdze Sędziów — ciągnął spokojnie — napisano że Duch Pański zstępował na tych, których Bóg wybrał na narzędzie swojej woli. Zstępował, dawał siłę, prowadził do zwycięstwa. — Spojrzał na Baraka. — Chłopiec nie mówi o własnej mocy. Mówi o czymś czego nie rozumie. To nie jest to samo co herezja. To jest szczerłość.

Długi starzec z brodą zacisnął usta.

— Jest dzieckiem — powiedział.

— Tak — zgodził się Kaleb. — Na razie.

Barak wyszedł z namiotu starszyny i usiadł na kamieniu przy studni i jadł suszone daktyle, bo był głodny i głód był prostszym problemem niż to co właśnie się skończyło.

Południe. Słońce stało prosto nad głową i nie zostawiało cienia nigdzie — cień zwijał się pod kamienną cembrowinę studni, pod nogi stołków przy namiotach, pod ciała psów śpiących bez ruchu przy palikach. Barak siedział w tym bezcieniowym świetle i czuł jak skóra na ramionach natychmiast nabiera temperatury — to szybkie, suche ciepło które na pustyni pojawia się bez ostrzeżenia i bez litości. Skwar był suchy jak spopielone drewno. Powietrze drżało tuż nad ziemią w tej charakterystyczny sposób, który sprawia że dalekie namioty wyglądają jak odbicia w wodzie.

Kaleb wyszedł chwilę później i usiadł obok.

Przez długą chwilę żaden nie mówił nic. Studnia skrzypiała lekko — wiatr poruszał kołowrotem, zardzewiałe żelazo przez cały dzień wydawało ten cichy, powtarzalny głos, tak że ludzie obozu słyszeli go na tyle rzadko żeby go nie słyszeć — i teraz Barak go słyszał, bo cisza między nim a Kalebem była wystarczająco głęboka

żeby zmieścić skrzypienie i odległy głos kobiety przy mieleniu i kroki kozy która szła przez plac z tą psią godnością zwierzęcia przekonanego o wadze własnych kroków.

— Dobrze odpowiedziałeś — powiedział Kaleb w końcu.

— Powiedziałem prawdę.

— To jest to samo.

Barak jadł daktyl i myślał o tym.

— Znasz kobietę przy bramie — zapytał.

Kaleb nie odpowiedział od razu. Ta pauza była za długa na nie i za krótka na tak.

— Jaką kobietę — powiedział.

— Tę która płakała. Cztery lata temu. Przy bramie placu ćwiczeń. Przychodziła kilka razy potem, ale zawsze z daleka. Myślała że jej nie widzę.

Kaleb patrzył przed siebie.

— Skąd wiesz że przychodziła kilka razy.

— Bo miała ten sam sposób stania. Ludzie mają własne sposoby stania. Amnon mówi że to pierwsza rzecz na którą trzeba patrzeć.

Cisza. Kołowrót studni skrzypnął dwa razy i ucichł.

— Amnon mówi za dużo — powiedział Kaleb.

— Dlaczego ona płacze.

Kaleb odwrócił się i spojrzał na niego. Długo. Z tym wyrazem twarzy który Barak znał — twarz człowieka który waży słowa jak kupiec waży srebro, dokładnie, bez

hojności i bez skąpstwa, tylko tyle ile potrzeba.

— Bo są rzeczy — powiedział w końcu stary dowódca — które bolą inaczej niż ból. I których nie ma sposobu przestać boleć. Można tylko nauczyć się z nimi chodzić.

— To nie odpowiedź.

— Nie.

Barak zjadł ostatniego daktyla. Wstał. Otrzeptał kolana.

— Pewnego dnia — powiedział, nie pytając — powiesz mi prawdę.

— Pewnego dnia — zgodził się Kaleb.

To wystarczyło na razie.

Barak wrócił na plac ćwiczeń, bo dzień był jeszcze długi i Amnon czekał i ogień w kościach spokojnie żarzył się w głębi, cierpliwy, wiedząc że czas przyjdzie.

Plac ćwiczeń był już pusty w tej porze dnia, kiedy słońce stoi najwyżej i wojownicy szukają cienia między drugą a czwartą godziną. Piasku nazbierało się wzdłuż palisady po nocnym wietrze, drobny i jasny, pokrywający ślady sandałów z porannych ćwiczeń. Barak stanął na środku i przez chwilę stał nieruchomo w pełnym południu — w tym białym, płaskim świetle bez cienia i bez kierunku — i czuł jak ogień w kościach reaguje na ciepło zewnętrzne spokojnie, jakby wiedział że to nie jest właściwy rodzaj gorąca.

Kobieta przy bramie stała za zakrętem między namiotami i patrzyła jak odchodzi. Trzymała zaciśnięte dłonie przy ustach. Nie płakała.

Nauczyła się już.

ROZDZIAŁ II

Pieśń Młota i Cienia



— Zrobiłem to, co mi kazałeś. Krew wrogów zmywa się piaskiem. Moje długi — nie.

Sektor plemienia Dana leżał na samym obrzeżu obozu, tam gdzie piach pustyni mieszał się z sadzą i opiłkami metalu. Tam, gdzie inne namioty milkły o zmroku — z kuźni Dana dochodziły dźwięki przez całą noc. Noc była ciepła i bezwietrzna, ta rodzaj nocy kiedy pustynia zatrzymuje ciepło dnia i oddaje je powoli, długo po zmierzchu, kiedy wszystko inne już ostygło. Gwiazdy były wyraźne nad obozem, ale od strony kuźni zasłaniał je słup dymu i żarzących się iskier unoszących się ku niebu jak

odwrócony deszcz.

Uderzenie. Pauza. Uderzenie.

Miarowe jak bicie serca kogoś, kto nie może spać.

Kuźnia nie była namiotem — była konstrukcją z ciężkich skór rozpiętych na grubych palach, czymś, co miało trwać i wytrzymać. Spod jej ścian dobywał się blask rozżarzonego paleniska, który barwił noc wokół na kolor zachodzącego słońca w złym śnie. Ciepło z wnętrza wychodziło przez każdą szczelinę i sprawiało że powietrze w promieniu dziesięciu kroków było o stopień za gorące na pustynną noc — nie nieznośnie, lecz zauważalnie, jak wchodzenie w pole czyjegoś oddechu.

W środku pracował Goliath.

Przy innych mężczyznach wyglądał jak inna rasa. Barki szerokie jak taran, ramiona jak sękaty pnienie oliwne, głowa niemal dotykająca szczytu namiotu. Nagi do pasa — i plecy, które opowiadały historię bez słów. Setki białych, wypukłych blizn po egipskich biczach przecinały skórę pod każdym kątem. Mapa cierpienia. Zapis lat przy budowie piramid, gdzie człowiek był tylko zwierzęciem pociągowym z imieniem.

Goliath uderzał młotem w rozżarzony brąz z furją, która zdawała się nie mieć końca. Każdy cios wywoływał snop iskier. Jego twarz w tym blasku była potężna, o gęstej brodzie — ale oczy miał smutne w sposób, który nie pasował do reszty.

W kącie kuźni, na stercie starych miechów, siedziała Miriam.

Była jego całkowitym przeciwieństwem: drobna, ostro zarysowana twarz, oczy pełne czegoś, co kiedyś mogło być

nadzieją, a teraz było tylko jej bliznami. W dłoniach obracała kawałek błękitnego egipskiego jedwabiu — jedyną rzecz, jaką zdołała ocalić z dawnego życia. Obok stał na wpuł pusty dzban z moabskim winem.

— Przestań już — rzuciła ochryple. — Ten metal jest twardszy niż sumienie faryzeusza. Twoje serce za to wciąż jest jak glina.

Goliath nie przerwał pracy. Mięśnie na plecach grały rytmicznie.

— Wykuwam broń dla Baraka — wychrypiął głosem, który brzmiał jak tarcie kamienia o kamień. — On jako jedyny nie patrzy na mnie jak na potwora.

— Bo on sam jest potworem — odparła Miriam. Gorzko i bez złośliwości, co było gorsze niż złośliwość. — Tylko w ludzkiej skórze. Jesteście tacy sami, bracie. Wybrańcy Jahwe. — Pociągnęła łyk z dzbana. — A gdzie był ten wasz Pan, kiedy rzucali cię do cysterny? Gdzie był, kiedy ja musiałam...

Goliath zamarł.

Młot zawisł w powietrzu. Jego wielkie ciało przeszył dreszcz tak gwałtowny, jakby ktoś wylał mu na kark kubeł lodowatej wody.

Cysterna.

Trzy dni. Absolutna, lepka czern. Bez wody. Szczury. Własny strach, który w ciemności rośnie i rośnie, aż przestaje być strachem, a staje się czymś żywym, co mieszka w piersi i nie chce wyjść. To tam coś w nim pękło — coś, czego żadna siła mięśni nie mogła naprawić. Goliath, który mógł powalić byka jednym uderzeniem, bał się ciemności jak dziecko. Dlatego jego kuźnia płonęła

przez całą noc. Dlatego zawsze jako ostatni gasił swoje ognisko.

— Milcz, Miriam — szepnął.

W jego głosie nie było gniewu. Była bezbrzeżna, wyczerpana prośba.

— Nie będę milczeć! — Miriam wstała, chwiejąc się lekko od wina. — Patrzysz na lampkę oliwną jak na boga. Jesteś niewolnikiem światła, Goliathie. Takim samym niewolnikiem, jakim byłeś w Egipcie. Tylko łańcuchy są teraz niewidoczne.

Wyszła, zostawiając za sobą opar dymu i ból gorszy niż dym.

Chwilę później zasłona wejściowa uniosła się i wszedł Barak.

Miał na sobie skórę lwa — w blasku paleniska wyglądał, jakby go ktoś wykuł z ognia i cienia. Goliath zmierzył go wzrokiem i po raz pierwszy tego dnia coś w jego twarzy złagodniało.

— Przyniosłeś skórę — mruknął olbrzym, ocierając pot z czoła skórzanym fartuchem.

— Przyniosłem coś więcej. — Barak podszedł do kowadła. Nie siadał, nie oparł się. Stał jak ktoś, kto przyszedł z konkretną sprawą. — Widziałem, jak patrzyli na mnie w obozie. Nienawiść Elisura i jego ludzi. Boją się siły, której nie rozumieją.

Goliath zaśmiał się — smutno i bez radości.

— Ja nie kontroluję nawet własnych snów, Baraku. Kiedy słońce zachodzi, staję się małym chłopcem w dziurze w ziemi. — Spojrzał w ogień. — Co taki człowiek

może dać Izraelowi?

Barak położył dłoń na potężnym ramieniu kowala. Nie mówił od razu. Począł, aż Goliath na niego spojrzy.

— Twój strach to twoja siła — powiedział wtedy. — Boisz się mroku, więc będziesz go zwalczał z większą zaciekłością niż ktokolwiek inny. Wykuj dla nas ostrza, które nie pękają. Tarcze, za którymi schowa się naród. Ja będę twoim światłem w nocy. Przysięgam na krew tego lwa.

Goliath patrzył na niego długo.

Potem wziął młot. Chwycił go tak, jak bierze się narzędzie, któremu można ufać.

— Więc wykujmy coś, czego pustynia jeszcze nie widziała.

Tej nocy pieśń młota była głośniejsza niż kiedykolwiek. Za ścianami kuźni pustynia milczała — ale nie dlatego, że spała. W mroku między namiotami, skulony przy sterce skórzanych tob, stał Zebulun. Nasłuchiwał. Liczył słowa. Zapamiętywał.

Wiedział już, że siła Baraka zyskała właśnie kowala, który potrafi zamienić gniew w stal.

Tę wiadomość ktoś chciał usłyszeć.

A wiadomości na pustyni podróżują szybciej niż karawany.

Miriam szła przez nocny obóz i ścisnęła jedwab w dłoni tak mocno, że zostawiała ślady na skórze.

Noc była późna — ta godzina kiedy nawet strażę zaczynają chodzić wolniej i kiedy ogień przy namiotach

spada do żaru. Obóz oddychał w ciemności tysiącem odetchnięć, a ona szła między namiotami z głową pochyloną, jakby coś na ziemi zasługiwało na jej uwagę, chociaż patrzyła dalej niż ziemia. Zapach dymu i skóry i stęchlizny dużego obozu wchodził w nozdrza bez pytania. Gwiazdy były zimne i ostre nad głową. Miriam szła i czuła jak jedwab w dłoni staje się wilgotny od potu — egipski jedwab, który przeżył rzeczy których ona nie chciała pamiętać, a jednak pamiętała.

Dla innych był to skrawek tkaniny. Dla niej — całun pogrzebanej niewinności.

Przy składowisku wozów, w cieniu, czekali oni. Hanoch i Pallu, synowie Elisura, a obok nich postać o zakrytej twarzy, od której biło ciepło obcych przypraw i piżma. Wysłannik Moabu. Człowiek, którego twarz nie miała znaczenia — bo takie twarze zawsze były zakryte.

— Przyniosłaś wiadomości? — syknął Hanoch, podając jej buklak.

Miriam piła łąpczywie. Wino paliło w gardle jak słusznna kara.

— Mój brat wykuwa dla Baraka. Ale nie metal jest groźny. — Wytarła usta jedwabiem. — Przysięgli sobie wierność. Barak obiecał mu coś, czego mój brat szuka od lat.

Moabit zaśmiał się cicho. Dźwięk brzmiał jak grzechotanie.

— Światło można zgasić, dziewczyno. Twój bohater Barak — ta krew, którą przelał walcząc z lwem, to tylko wstęp. Powiedz nam, kiedy będą sami. Chcemy zobaczyć, czy ten miecz da się złamać, zanim uderzy w naszych królów.

Miriam patrzyła na jedwab w dłoni.

Nienawidziła Baraka za to, że dawał jej bratu nadzieję. Nadzieja była dla niej najokrutniejszą z tortur — bo umiała tylko boleć, gdy ją odbierano.

— Jutro. Południe. Południowe piaski.

Odwróciła się i odeszła, zanim zdążyli powiedzieć coś jeszcze. Nie chciała słyszeć ich podziękowań. Były gorsze niż milczenie. Szła z powrotem przez obóz tą samą drogą, między tymi samymi namiotami, w tej samej ciemności — ale coś w niej było teraz cięższe o kilka słów które powiedziała i których już nie dało się odwołać. Jedwab ścisnęła mocniej. Wiedziała, że jeśli puści, to zostanie tylko dłoń. I nic w tej dłoni.

Następnego dnia, gdy słońce wspięło się na zenit i zaczęło wypiekać piach na suchy tynk, Barak i Goliath ruszyli przez obóz.

Szli ramię w ramię — olbrzym nagi do pasa, z bliznami na plecach jaśniejącymi w słońcu, i młodzieniec w lwiej skórze, który chodził tak, jakby wiedział, dokąd idzie. Ich widok sprawiał, że rozmowy milkły. Dzieci przestawały się bawić. Kobiety patrzyły spod zasłon. Obóz w południe był ospały od upału i tej ospałości nie pasowały dwie takie sylwetki idące z celem — to napięcie między bezruchem południa a ruchem celu wystarczyło, żeby oczy szły za nimi bez pytania.

Plac ćwiczeń w Gilgal był pełen wrzawy. Rzędy włóczników uczące się trzymać szyszkę — tarcza przy tarczy, lita miedź. Procarze posyłający kamienie w wiklinowe cele. Instruktorzy krzyczący krótkie, twarde komendy. Kurz unosił się nad placem gęsto — suchy, białawy, taki który wchodzi w usta i osiada na zębach — i w tym kurzu,

w tym skwarze południa, kilkaset ciał pracowało z uporem jaki mają tylko ludzie ćwiczący do czegoś konkretnego, nie dla zdrowia.

Barak i Goliath stanęli na krawędzi.

— Sprawdźmy — powiedział Goliath — czy ta lwia skóra daje ci też szybkość lwa.

Wziął ćwiczebny drąg dębowy — gruby jak ramię przeciętnego człowieka — i obrócił nim w powietrzu lekko, jak patyk.

Barak zdjął skórę lwa. Zostały mu tylko spodnie i przepaska. Nic, co mogłoby krępować ruch.

Zaczęli.

Nie był to sparing, który oglądało się i zapominało. Goliath nacierał jak lawina — każdy zamach drąga świszczał z siłą, która mogłaby zdruzgotać mur. Ziemia drżała pod jego stopami. Gdyby trafił, kończył walkę natychmiast.

Ale nie trafił.

Barak był jak wiatr — tam, gdzie pół sekundy temu stał, już go nie było. Prześlizgiwał się pod potężnymi ramionami, robił uniki ciasne i ekonomiczne, kontratakował z szybkością błyskawicy. Nie walczył z Goliathem — on tańczył wokół niego, prowokując każdy kolejny potężny cios i krok po kroku odbierając olbrzymowi równowagę.

Wokół placu ćwiczeń coraz więcej żołnierzy przerywało własny trening. Dowódcy opuszczali ręce. Instruktorzy zamykali usta.

Wszyscy patrzyli.

W końcu Barak wykorzystał moment, gdy Goliath za mocno zamachnął się i przez ułamek sekundy poszedł za ciosem — za daleko, za ciężko. Barak zablokował ramię olbrzyma, okręcił się na pięcie i przyłożył koniec drąga do krtani giganta.

Obaj zamarli. Zlani potem. Ciężko oddychający. Kurz który wzbudziły ich nogi przez ostatnie minuty powoli opadał wokół nich jak cichy deszcz jasnego pyłu. Słońce stało wysoko i rzucało ich cienie krótkie i gęste, i przez chwilę żaden z nich się nie poruszył — tylko oddychali, Barak szybko i wyrównanym rytmem, Goliath głęboko jak mieszki kuźni.

Cisza na placu była ogłuszająca.

— Jesteś szybki, synu Abinoama — wychrypiał Goliath. Uśmiechał się mimo porażki, bo to był uśmiech człowieka, który rozpoznaje kogoś sobie równego. — Jak on to robi?

— A ty jesteś jak góra — odparł Barak, pomagając mu wstać. — Razem będziemy nie do zatrzymania.

W cieniu namiotu przy obrzeżu placu Hanoch zacisnął pięści tak mocno, że paznokcie wbiły mu się w dłonie.

Widział, czego się obawiał.

Rodziła się potęga, której nie dało się już zlekceważyć. Ani zamknąć oczu i udawać, że jej nie ma. Plac stopniowo wracał do pracy — instruktorzy krzyknęli, żołnierze wracali do szyków, kurz opadał — ale wszystko to było wolniejsze o pół taktu, jakby coś niewidzialnego zaburzyło rytm i potrzeba było chwili żeby go odzyskać. Hanoch stał w cieniu i obserwował jak Barak i Goliath schodzą z placu razem, i widział jak ludzie przy drodze robią im przestrzeń — nie ze strachu, raczej z tego nieświadomego gestu który ma się wobec czegoś, co jest wyraźnie większe od

przestrzeni którą zajmuje.

Barak szedł przez obóz po zakończeniu ćwiczeń i minął go przy studni.

Przy studni stała klęcząca wielbłądzica — zawiązana przy kołku, odpoczywająca z tym charakterystycznym wyrazem pyska który u wielbłądów oznacza pogardę dla całego otaczającego świata. Jeden z koczowników pojął ją powoli, bo wielbłąd pijący szybko to wielbłąd który potem chrypi, co koczownicy wiedzą a osiadli zawsze muszą się nauczyć.

Nie wiedział kto to jest — nie z wyglądu, bo Elisura znał z opisów i opisy zawsze są gorsze od oryginału. Ale wiedział że to on. Tak jak się wie pewne rzeczy przez skórę, nie przez rozum — przez sposób w jaki człowiek stoi, przez to jak trzyma głowę, przez tę szczególną nieruchomość kogoś, kto obserwuje i kto jest przyzwyczajony do tego, że nikt go przy tym nie obserwuje.

Elisur stał przy studni i pił wodę z bukłaka. Spokojnie. Jakby nie było nic ciekawszego na świecie niż ta studnia i ta woda.

Barak przeszedł dwa kroki od niego.

W tym momencie Elisur uniósł wzrok. Ich oczy spotkały się przez ułamek sekundy — nie przez przypadek, bo żaden z nich nie robił niczego przez przypadek — i w tej sekundzie wymienili coś, co nie miało nazwy, bo dzieje się zbyt szybko żeby dostać nazwę.

Barak widział: człowiek który się nie boi. Który kalkuluje. Który patrzy na niego jak na problem który ma swoje rozwiązanie i który jest pewien że to rozwiązanie znajdzie.

Elisur widział: siłę, której nie spodziewał się w tak młodym człowieku. Nie siłę fizyczną — tę znał z raportów. Spokój. Taki spokój który nie pochodzi z braku wyobraźni lecz z nadmiaru pewności.

Obaj odwrócili wzrok prawie jednocześnie.

Barak szedł dalej. Nie przyśpieszył kroku — bo przyśpieszenie byłoby informacją — i nie odwrócił się.

Elisur wrócił do wody.

Żadne z nich nie powiedziało ani słowa. Żadne nie musiało.

Obaj teraz wiedzieli, z czym mają do czynienia.

Widziała go przy ćwiczeniach trzy razy zanim powiedziała słowo.

Nie dlatego że się bała — Tirza bała się niewielu rzeczy i żadna z nich nie miała twarzy osiemnastoletniego chłopaka z mieczem. Dlatego że obserwowanie było jej sposobem na rozumienie. Ojciec uczył: zanim kogoś ocenisz, popatrz jak walczy gdy nikt nie patrzy. Jak traktuje słabszych. Jak się zachowuje gdy wygrywa a jak gdy przegrywa. Pierwszy raz widziała go z odległości — przez tłum na placu, który tego dnia był pełen przed południem. Drugi raz bliżej, przy paliku do rzutów. Trzeci raz sama, bo reszta poszła na południe obozu gdzie ktoś rozniósł wieść o kłótni między Manassesem a Danem — te wieści zawsze przyciągały ludzi jak miód muchy, i Tirza skorzystała z pustego placu żeby patrzeć spokojnie, bez tłumy, bez cudzych komentarzy w uszach.

Barak wygrywał inaczej niż wszyscy których znała — bez triumfu na twarzy, bez gestu do tłumy. Jakby zwycięstwo było tylko informacją, a nie nagrodą. To było

nieoczekiwane. Nieoczekiwane rzeczy wymagały dłuższej obserwacji.

Gdy wreszcie podeszła, powiedziała tylko jedno zdanie — pytanie o technikę bloku które dobrze знаła i na które nie potrzebowała odpowiedzi.

On odpowiedział poważnie, bez flirtu, bez oglądania się czy ktoś patrzy.

To też było nieoczekiwane.

Wróciła do ojca wieczorem — obóz gasił ogniska jedno po drugim, niebo na zachodzie przechodziło z pomarańczowego w granat i w tej ciemności obóz robił się mniejszy i bliższy, jak każde miejsce kiedy zdejmują z niego dzienne odległości — z tym konkretnym wyrazem twarzy który Jozue znał od jej dzieciństwa. Nie pytanie, nie prośba, po prostu informacja że coś jest do przemyślenia. Ojciec nie pytał co. Wiedział że powie gdy będzie gotowa, i że jeśli nie powie — sam też dojdzie.

Koniec rozdziału drugiego.

Cysterna

Miał siedem lat kiedy go tam wrzucili.

Nie za karę — przynajmniej nie za żadną konkretną winę. Za to że był duży. Za to że Harod, syn sąsiada, który miał lat dziesięć i który uważał się za nadzorcę wszystkich młodszych, powiedział że Goliath za dużo je i za mało pracuje i że trzeba mu pokazać co to głód. Harod miał za sobą dwóch chłopców z pokolenia Zebulona, którzy robili co chciał, bo tak to działa — siła bez mądrości szuka sobie gromady.

Cysterna była wyschniętą studnią przy wschodnim krańcu obozu. Głęboka na pięć łokci, z kamienną obudową i wiecznym chłodem, który nie był przyjemnym chłodem cienia lecz chłodem miejsca, do którego słońce nie sięga i nie próbuje. Kamienie obudowy były pokryte warstwą dawnej wilgoci — nie mokre, ale zimne w sposób, który zostawia ślad na dłoni. Pachniała ziemią i starą wodą i czymś, co Goliath zidentyfikował dopiero znacznie później jako zapach własnego strachu zapamiętanego przez ściany.

Wrzucili go. Zaśmiali się. Odeszli.

Na górze zostało niebo — kwadrat nieba, niebieski, coraz ciemniejszy w miarę jak dzień przechodził w wieczór.

Gorzej niż ciemność była cisza.

Goliath wołał przez pierwszą godzinę. Nie płakał — wołał, bo wołanie jest działaniem, a płkanie nie. Wołał matkę, ojca, Miriam — siostrę, cztery lata, która gdzieś

tam w tym obozie płakała może teraz i szukała go, albo spała i nie wiedziała jeszcze, co się stało.

Nikt nie przyszedł.

Kiedy gardło odmawiało wołania, Goliath usiadł na dnie i oparł plecy o kamień i zaczął śpiewać. Piosenki matki — te głupie, dziecinne, o kozie i o rzece i o chlebie który rośnie jak słońce świeci. Śpiewał żeby nie słyszeć ciszy i żeby nie myśleć o tym jak małe jest niebo nad głową i jak grube są ściany dookoła.

Pierwszej nocy niebo zapełniło się gwiazdami.

Goliath patrzył na nie i liczył, bo liczenie jest działaniem, i kiedy dochodził do czterdziestu albo pięćdziesięciu zaczynał od nowa, bo tracił rachubę, bo w cysternie jest chłodno i po jakimś czasie myślenie robi się trudniejsze. Zimno schodziło z kamieni powoli, wchodząc przez płótno szaty, przez skórę, głębiej — to zimno, które nie atakuje nagle jak woda, lecz osacza jak ciemność, stopniowo, bez ostrzeżenia, aż się zorientujesz że jesteś w środku i nie wiesz kiedy to się stało.

Pierwszej nocy były szczury.

Dwa. Może trzy. Ciepłe ciała w ciemności, szelest pazurów na kamieniu, zapach trupiego łupu i mokrego futra. Goliath siedział bez ruchu i czuł jak przebiegają po jego nogach, i nie krzyczał, bo doszedł do wniosku że skoro nie atakują to może nie warto im przypominać o swojej obecności.

Piosenki skończyły mu się po czterech godzinach.

Potem była już tylko cisza i ciemność i chłód i szczury.

Rankiem ojciec go znalazł.

Nie szukał — szedł po wodę przy wschodniej studni i usłyszał słaby dźwięk z cysterny, bo Goliath już nie wołał głośno, wołał cicho i metodycznie, co godzinę, żeby nie zmarnować gardła. Poranek był chłodny, ten charakterystyczny pustynny chłód przed wschodem słońca kiedy temperatura spada do punktu który zaskakuje, bo w dzień wszystko jest gorące i w nocy jest zimno i między jednym a drugim jest ta krótka chwila przed świtem kiedy jest zimniej niż o północy. Obóz dopiero wstawał — dymy pierwszych ognisk, głosy ludzi szykujących wodę i chleb, muły ryczące przy palisadzie.

Ojciec wyciągnął go na sznurze.

Goliath stał w słońcu i mrugał, i nie płakał — bo płkanie jest wtedy gdy jest bezpiecznie, a on jeszcze nie wiedział czy jest bezpiecznie, bo jego ciało nauczyło się przez noc że nigdy nie wiadomo. Słońce uderzało w twarz jak coś materialnego, gorące i jasne po godzinach kamiennego chłodu. Piach pod nogami był ciepły i znany i obóz wokół trwał swoim zwykłym porannym rytmem — tak jak gdyby nic się nie stało, jak gdyby noce w ciemnych studniach nie zdarzały się wcale, jak gdyby świat był taki jaki powinien być. Goliath przez chwilę stał i patrzył na ten normalny świat i czuł jak bardzo przez noc stał się od niego odległy.

— Harod — powiedział ojciec. Jedno słowo. Twarde jak kamień.

— Harod — potwierdził Goliath.

Ojciec skinął głową. Wziął Goliatha za rękę i prowadził do namiotu, i po drodze nie mówił nic, bo to był mężczyzna który wyrażał miłość przez milczenie i obecność, nie przez słowa, i Goliath to wiedział i to wystarczyło.

Harod dostał tego samego popołudnia to, co się należy chłopcu który wrzuca młodszych do cystern. Szczegółów nie opisywano.

Ale Goliath nie wrócił do zdrowia.

Nie fizycznie — fizycznie wrócił szybko, bo siedem lat to wiek który goi się z dnia na dzień. Wróciło coś innego, co nie miało nazwy ale co czuło się jak cień przyklejony do pleców. Coś, co przychodziło w ciemności. Coś, co przyszło tamtej nocy i zostało.

Miał siedem lat i skończyło się dzieciństwo.

Nie dlatego że wrzucono go do cysterny. Dlatego że w ciemności, w ciszy, sam — nauczył się, że są miejsca z których nie ma wyjścia jeśli nikt nie poda ci sznura.

I że sznur można mieć albo go nie mieć.

I że to jest różnica między wszystkim a niczym.

Rok później ojciec zabrał go do kuźni po raz pierwszy.

Nie żeby go uczyć — żeby mu pokazać. Rozpalił ogień, rozgrzał brąz, wziął młot i uderzył — raz, dwa, trzy — i metal zmienił kształt. Takie proste. Taka alchemia. Kuźnia była namiotem z odkrytym bokiem, z paleniskiem przy wschodniej ścianie i z tym charakterystycznym zapachem — spalony metal i węgiel i coś ostrego, coś co wchodzi w nozdrza i zostaje przez godziny. Żar promieniował z paleniska jak małe słońce, i w tej ciepłocie nie było nic zdradzieckiego — była prosta, uczciwa, z zasięgiem który widać.

Goliath patrzył na ogień.

Ogień nie był ciemnością. Ogień był odwrotnością ciemności — głośny, gorący, ruchliwy, żywy. Gdzie ogień,

tam widać. Gdzie widać, tam nie ma szczurów. Gdzie nie ma szczurów, tam można myśleć.

— Chcę się nauczyć — powiedział.

Ojciec spojrzał na niego. Na jego dłonie — duże już wtedy, za duże na osiem lat, jak gdyby ciało wiedziało z wyprzedzeniem co będzie potrzebne. Potem kiwnął głową.

Pierwszego uderzenia Goliath nie zapomniał nigdy.

Metal pod młotem. Ogień w palenisku. Iskry lecące w górę jak małe słońca. I ten dźwięk — głęboki, pewny, ostateczny — który był głośniejszy od każdej ciszy i który tłukł ją na kawałki i rozrzucał po kuźni.

Goliath uderzył drugi raz. Trzeci. Dziesiąty.

Ciemność na jego plecach trochę zelżała.

Nie odeszła — nie odchodzi. Ale przy ognisku i z młotem w dłoniach stawała się możliwą do dźwigania. Jak ciężar, który można nieść, jeśli się wie jak trzymać.

Kowalstwem nauczył się oświecić noce, których inaczej nie dałoby się przeżyć. Młotem i ogniem uczył się że ciemność jest tylko brakiem ognia — i że ogień można rozpalić wszędzie, w każdym miejscu, z każdego materiału, bo ciepło jest zawsze możliwe jeśli tylko wie się jak zaproszyć iskrę.

I nigdy nie wrócił dobrowolnie do żadnego miejsca, w którym nie było ognia.

Harod czekał na niego gdy wyszedł z cysterny.

Nie sam — z tymi samymi dwoma z Zebulona, bo Harod bez zaplecza był człowiekiem bez odwagi, a człowiek bez odwagi potrzebuje liczebności. Stali przy zachodnim

wyjściu, w miejscu gdzie droga z cysterny zwęża się między skałami, i mieli kije i ten wyraz twarzy który mają chłopcy gdy robią coś złego i gdy wiedzą że robią coś złego i gdy to ich nie powstrzymuje.

— Wyszedłeś — powiedział Harod z wyraźnym zaskoczeniem. — Myśleliśmy że zostaniesz tam do rana.

Goliath stał przed nim i patrzył. Był mniejszy od Haroda o głowę — siedem lat wobec dziesięciu to przepaść fizyczna — ale coś w nim stało inaczej niż powinno. Nie strach, nie gniew. Coś spokojniejszego i trwalszego.

— Zejdź z drogi — powiedział Goliath.

Harod zaśmiał się.

Goliath ruszył naprzód.

To co nastąpiło później było krótkie i mało eleganckie i skończyło się na ziemi — Harod na ziemi, jego dwaj towarzysze w różnych kierunkach, Goliath z rozbitą wargą i z poczuciem, które rozpoznał dopiero wiele lat później, gdy miał słowa na jego opis: że jest granica między tym co wytrzymuje się w ciszy i tym co wymaga odpowiedzi, i że znalezienie tej granicy jest ważniejsze niż jej strona.

Wrócił do namiotu i nie powiedział nikomu co się stało.

Następnego dnia przy ognisku siedział chłopiec — ciemna twarz, spokojne oczy, może rok starszy od Haroda — który patrzył na Goliatha z tym konkretnym skupieniem, które nie jest ani wrogością ani przyjaźnią, tylko oceną. Goliath spojrzał na niego. Chłopiec kiwnął głową — jeden raz, powoli, jakby potwierdzał coś co już wiedział.

Nie zamienili wtedy słowa.

Ale to był Barak. I to był początek — nie przyjaźni, bo przyjaźń przyszła później, przy wielu ogniach i przy wielu bitwach. Początek czegoś wcześniejszego: rozpoznania. Że niektórzy ludzie patrzą na siebie i wiedzą, bez słów i bez tłumaczenia, że będą chodzić tymi samymi drogami.

Goliath nigdy mu o cysternach nie powiedział. Barak nigdy nie pytał. To też było część rozpoznania — że pewnych rzeczy nie trzeba tłumaczyć gdy ktoś patrzy na ciebie właściwie.